



Zapomniany malarz zwierzyński

2017-02-03

Mają Półwie i Zwierzyniec wiele powodów do dumy. To tutaj mieszkała sławna „Królowa przedmieścia”, tutaj funkcjonował kiedyś rozstawiony przez Jerzego Harasymowicza „Bar na Stawach”. Są tutaj kopiec Kościuszki, klasztor Panien Zwierzynieckich, prastary - być może czasy Cyryla i Metodego pamiętający - kościół św. Salwatora i dworek „Pod Lipkami” pełen wspomnień o księciu Józefie Poniatowskim.

Jest też na początku ulicy Królowej Jadwigi miejsce, na które warto zwrócić uwagę. Stała tu bowiem kiedyś kuźnia oraz dom oznaczony numerem cztery. Mieszkał w nim kowal Franciszek Grabowski. Musiał on cieszyć się szacunkiem współobywateli, skoro pełnił funkcję zwierzyńskiego sołtysa. Podobno ów zwierzyński kowal wywodził się ze szlachty, a jego dziadek w czasach barskiej konfederacji walczył u boku Kazimierza Pułaskiego. Trudno dziś powiedzieć, ile było prawdy w tej rodzinnej legendzie. W każdym razie wśród sąsiadów byli i tacy, którzy twierdzili, że sołtys dlatego lubi często zaglądać do kieliszka, gdyż chce zapomnieć o upadku swojej herbowej familii. Mawiano w tamtych czasach, że herbem się kaszy nie okraś. O tę okrasę, o codzienny byt rodziny dbała pani Salomea Grabowska. W przeciwieństwie do męża wywodziła się z włościan, a jej panieńskie nazwisko brzmiało Kopta. Była prawdziwą gospodynią, taką, która trzyma trzy węgły w domu. Wspominano ją jako kobietę „pobożną, pracowitą, zapobiegliwą, oszczędną i roztropną”. Była przy tym także gościnna. Jeden z pamiętnikarzy, wspominając po wielu latach Wigilię u państwa Grabowskich, pisał, jak to pani Salomea „w pięknym chłopskim, krakowskim ubraniu, w bogatych koralach na szyi” serdecznie zapraszała gości do wigilijnego stołu.

Co jednak zdecydowało, że dom Grabowskich zachowali w pamięci ludzie pióra i pędzla, że gościli w nim m.in.: poeta Władysław Ludwik Anczyc, literat Michał Bałucki, malarz Florian Cynk, rzeźbiarz Parys Filippi ze swoją siostrą Lidią, w przyszłości panią Turską, fotograf Walery Rzewuski, literat Jan Kanty Turski oraz rzeźbiarz Franciszek Wyspiański, ojciec Stanisława?

Synowie kowala Franciszka

Stało się tak za sprawą dwóch synów państwa Grabowskich, Andrzeja i Wojciecha, choć niewątpliwie to jednak Andrzej bardziej przyczynił się do rozstawienia zwierzyńskiej kuźni. Urodził się Jędrus Grabiec – tak później nazywali go koledzy – jesienią roku 1833. Był dzieckiem zdolnym, chodził do zwierzyńskiej szkoły, uczył się tak dobrze, że podobno jego matka zaczęła już marzyć, iż w przyszłości zostanie księdzem. Okazało się jednak, że jej synowi pisany był inny los. Odwołując się znów do wspomnień i pamiętników świadków tamtych czasów, można przytoczyć następujące zdania: „Atoli zamiary matki nie uśmiechały mu się wcale. Nie nęcił go habit ni sutanna; rozpierało go życie, rodząc w nim inne pragnienia. Obrazy, które widział po kościołach, obudziły w nim zapał dla sztuki”. Można podejrzewać, że pani Salomea nie była zachwycona pomysłem syna. Uległa jednak w końcu i wyraziła zgodę na to, aby Jędrus został malarzem, ale pokojowym. Terminował więc Andrzej przez roku u majstra Kicińskiego, który zresztą wystawił mu bardzo dobre świadectwo. Z tym świadectwem przekroczył progi krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Liczył wówczas szesnaście lat. W szkole jego młodszymi kolegami byli: Artur Grottger, Aleksander Kotsis Jan Matejko i Zdzisław Suchodolski. Zaczęły się lata nauki i lata biedowania. W domu się raczej nie przelewało, było młodsze rodzeństwo. Młody adept malarstwa nie chciał i mógł oczekiwać od matki wielkiej pomocy. Brakowało mu pieniędzy na farby, płótno, pędzle, a także na porządne ubranie. Koledzy zapamiętali jego starą, długą



kapotę i starą czapkę. Chwytał się rozmaitych zajęć i często niemających nic wspólnego z malarstwem. Rąbał nawet drewno na zwierzynieckiej plebanii. Pomagał mu trochę proboszcz od św. Salwatora ks. Karol Tupy, poeta ukrywający się pod pseudonimem Bolesław Jabłoński. Po latach wspominał, że wielką radością było dla niego w tamtych czasach kupienie „kromy promnickiego chleba i uczciwego kawałka kiełbasy” oraz zapalenie „krowoderosa” za dwa grosze. Bieda, a chyba i chęć wyrwania się z atmosfery konserwatywnej szkoły, skłoniły Andrzeja do przerywania nauki i podjęcia próby utrzymywania się z własnej twórczości. Być może zachęciło go do tego pewne zdarzenie. Otóż kiedyś jakiś nieznany, zapewne przyjezdny ksiądz zapłacił mu dziesięć guldenów za rysunek przedstawiający kopiec Kościuszki.

Zdolny portrecista

W 1855 roku założył Andrzej Grabowski w Krakowie własną pracownię. Bardzo szybko zdobył sławę zdolnego portrecisty. Artyści w każdym czasie mają otwarty wstęp na salony. Młody malarz miał więc zaszczyt gościć nawet u Potockich w Pałacu pod Baranami. Podobno, gdy przedstawiono go pani Adamowej Potockiej, hrabina zapytała – nie bez pewnej dozy arystokratycznej złośliwości – czy jest krewnym krawca Grabowskiego? „Chłopok ze Zwierzyńca” nie dał sobie „w kaszę dmuchać” i odpowiedział, że nie jest spokrewniony z krawcem, natomiast jego krewniak to szewc Potocki. Rzeczywiście działali wtedy w Krakowie tacy dwaj rękodzielnicy. Trzeba przyznać, że hrabina stanęła na wysokości zadania i zgoła nie obraziła się za tak śmiałą replikę. Można podejrzewać, że zaimponowało jej także inne zdarzenie. Otóż kiedyś miał zaszczyt być zaproszonym do powozu pani Adamowej i jechał razem z hrabiną przez Rynek. W pewnym momencie poprosił stangreta, aby ten zatrzymał konie, wyskoczył z pojazdu i serdecznie powitał się ze swoją matką, która sprzedawała na Rynku nabiął.

Maluje Grabowski polskich arystokratów i galicyjskich dorobkiewiczów. Jest goszczony w pałacach i dworach. Nie zapomina jednak o mieszkającej na Zwierzyńcu rodzinie. To właśnie z tych lat zachowały się miłe wspomnienia artystów odwiedzających dom rodziców malarza. Uwiecznił też Andrzej swoim pędzlem ojca i matkę. Marian Minich, najwybitniejszy znawca twórczości Grabowskiego tak opisywał portret pani Salomei: „twarz poorana lekko pługiem cierpienia i solą też wyłania się w bezwolnym zamyśleniu z głuchych zakątków nawy kościelnej”. Natomiast portret ojca artysty to obraz „przetywierdzający uwagę widza siłą woli zdziczałego od troski spojrzenia, oraz ekspresyjnie realistyczną, pełną dynamiki uczuciowej, tragicznie nerwową twarzą”.

We Lwowie

Młody artysta cieszy się uznaniem, lecz wie, że jeszcze musi się uczyć. Dzięki pomocy finansowej hrabiego Tarnowskiego studiuje na wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych. Kiedy wybuch powstania styczniowe, Andrzej Grabowski bierze prawdopodobnie udział w zakończonej klęską wyprawie na Miechów. Po powstaniu wraca do pracy, maluje, cieszy się powszechnym uznaniem. W 1866 r. opuszcza Kraków i przenosi się do Lwowa. Podobno na podjęcie takiej decyzji miała wpływ nieszczęśliwa miłość Grabowskiego do córki pewnego profesora krakowskiego uniwersytetu.

W Lwowie także cieszy się uznaniem. Zdobywa nagrody na międzynarodowych wystawach.



Kiedy krakowska Rada Miejska postanawia zawiesić w sali obrad portret prezydenta Józefa Dietla, magistrat zleca tę pracę właśnie Grabowskiemu, który jest teraz duszą artystycznego towarzystwa oraz bohaterem wielu popularnych anegdot. W lwowskich kawiarniach opowiadają, jak przekonał pewną leciwą damę, że nawet jej piesek rozpozna ją na portrecie. Psina rzeczywiście „całowała” wizerunek swojej pani, który artysta wcześniej wysmarował kiełbasą. Żeni się Grabowski z posażną panną Marią Brühl, córką znanego lwowskiego restauratora. Małżeństwo nie jest jednak udane. Liczący trzydzieści pięć lat artysta zbyt już zasmakował w kawiarnianym życiu. Ciosem dla niego jest śmierć Artura Grottgera, serdecznego druha od czasów krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Obwinił o to jego narzeczoną Wandę Monné, która wbrew obietnicom dochowania wierności nieboszczykowi poślubia innego mężczyznę. Nienawiść do pani Wandy była naprawdę wielka. Jeszcze wiele lat później Grabowski, już ciężko chory, nie chciał jej widzieć. Kiedy odwiedziła go wraz z siostrą Grottgera, piękną panią Sawiczewską wołał do swojego współpracownika: „Wyrzucić mi stąd te k....! Jedna zniszczyła Grottgera, a druga zniszczyła mnie!”

Wyniszczony alkoholem i gruźlicą umiera Andrzej Grabowski jesienią 1886 r. Dwie wojny światowe zniszczyły wiele jego dzieł, a nieubłagany czas zatarł o nim pamięć i to nie tylko na Zwierzyńcu.

Michał Kozioł